

Oburzeni i frajerzy – czy mamy szansę na bunt?

20 lutego 2012

Manifestacje polskich Oburzonych zebrały niewielu uczestników. Dopiero groźba ratyfikacji ACTA wyprowadziła na ulice ludzi w liczbie, jakiej dawno nie dane nam było oglądać. Co więcej, jak zauważyli w zadziwieniu niektórzy komentatorzy, okazało się, że protest pogodził tych, którzy ledwie dwa miesiące temu mogli się spotkać jedynie po przeciwnych stronach barykady. Oprócz haseł dotyczących bezpośrednio kwestii wolności w internecie, na transparentach pojawiły się hasła antyrządowe, antykorporacyjne oraz podważające naczelną kapitalistyczną zasadę zysku. Czy znaczy to, że w Polsce możemy spodziewać się w końcu fali społecznego oburzenia ze strony ludzi, którzy jak dotąd pokornie i bez słowa sprzeciwu znosili warunki socjalno-bytowe nieporównanie gorsze od tych, które wyprowadziły na ulice demonstrantów na zachodzie Europy? Nie wdając się w futurystyczne spekulacje zastanówmy się, czego potrzeba, aby w ogóle możliwy był bunt prowadzący do podważenia niesprawiedliwych systemów dominacji.

Zdolność do protestu nie jest przecież czymś oczywistym. W Polsce, jak pamiętamy, nieco anemiczne demonstracje Oburzonych same były celem oburzenia dużo większego niż to, które zostało wyrażone na transparentach – nawet gdy bywały one niecenzuralne. Zwracano wtedy uwagę, że protestuje głównie młodzież „z dobrych domów”, którą stać na płatne liceum. Jednak rzecz wcale nie w tym, że wielu Polaków pod względem sytuacji materialnej chętnie zamieniłoby się z demonstrantami i dlatego oni akurat „nie mieli prawa” protestować.

Oburzenie się, wbrew pozorom, nie jest bowiem ani łatwe, ani przyjemne z psychologicznego punktu widzenia. Spójrzmy na przykład kobiet. Ich gorsza pozycja w społeczeństwie nie mogłaby być bardziej oczywista: nikły udział we władzy

(zarówno państwowej, jak i korporacyjnej), niższe zarobki za tę samą pracę, praktycznie wyłączna odpowiedzialność za prowadzenie gospodarstwa domowego, opiekę nad dziećmi i starszymi, a do tego wszystkiego jeszcze porażające statystyki przemocy: w rodzinie, w pracy i na ulicy. Pomimo to, stosunkowo niewiele kobiet identyfikuje się jako feministki, i nawet te, które porzucają retorykę „pięknego różnienia się”, zwykle stanowczo zastrzegają „nie jestem feministką, ale...” Czy to tylko lęk przed odrzuceniem albo zemstą mężczyzn?

Protest jest tak trudny, bo wymaga mentalnego podważenia istniejącego porządku świata, a także przekształcenia dotychczasowych relacji z innymi: utartych sposobów bycia razem, postrzegania i działania. Jest zatem niezwykle skomplikowaną operacją na tożsamościach wszystkich zainteresowanych niszcząc ich bezpieczne oczywistości, w których zdążyli się zadomowić, i kwestionując to, co dotąd było „normalne”.

To jednak nie wszystko. Samo wyrażenie sprzeciwu definiuje bowiem istniejący porządek jako oparty na niesprawiedliwej dominacji. Zburzone zostaje poczucie społecznej jedności: okazuje się, że jesteśmy podzieleni na tych, którzy mają lepiej, oraz tych gorszych. I żadna z tych pozycji nie pozwala na psychiczny komfort. Ci, których uprzywilejowana pozycja była dotąd uważana za normalną i zasłużoną, nagle okazują się wspierać, czy choćby tylko czerpać korzyści, z systemu przemocy i dyskryminacji. Ci na dole wydają się wprawdzie mieć nad nimi moralną przewagę, ale bycie ofiarą również nie jest przyjemne. Po odrzuceniu wcześniejszej akceptacji dla społecznych oczywistości ciosy i upokorzenia, które nauczyliśmy się znosić jako coś normalnego, nagle zaczynają naprawdę boleć. Co więcej, musimy się zmierzyć z poczuciem, że pochodziły one często od osób, które były i wciąż są nam bliskie. I że jak dotąd się nie buntowaliśmy. Zrobienie tego kroku, spojrzenie na sytuację spoza myślowych schematów usprawiedliwiających dominację pokazuje, jak żałosnymi

frajerami byliśmy dotąd. To właśnie pełne paniki „nie podtykajcie nam naszego frajerstwa pod nos!” odezwało się w głosach „oburzonych na oburzonych” – my mamy gorzej niż oni i się nie buntujemy, więc jak oni mają czelność to robić?!

Nie, protest nie jest niczym przyjemnym, bo wymaga przyjęcia tego, co w psychoanalizie kleinowskiej nazywa się pozycją depresyjną. Według Melanie Klein, na wczesnym etapie rozwoju, nazwanym przez nią pozycją paranoidalno-schizoidalną, niemowlę radzi sobie z negatywnymi uczuciami rozszczepiając zarówno siebie, jak i inne osoby. Matka, reprezentowana przez pierś, zostaje podzielona na dwa obiekty: dobrą pierś, która karmi i jest kochana; oraz złą, która nie przychodzi wtedy, gdy jest potrzebna, wzbudzając w dziecku złość i poczucie opuszczenia. Niemowlę rozszczepia również samo siebie nie potrafiąc połączyć w całość obrazu dobrego, kochającego dziecka, jakim chce się widzieć, oraz tego wściekłego, które chętnie zrobiłoby mamusi krzywdę. Dlatego agresja zostaje wyprojektowana w złą pierś, która w ten sposób zaczyna być postrzegana jako prześladowający obiekt.

Integracja siebie oraz drugiej osoby możliwa jest dopiero po przyjęciu pozycji depresyjnej, nazwanej tak oczywiście ze względu na smutek i żalobę, jakie są jej warunkiem. Nie jest łatwo zaakceptować to, że najbliższe nam osoby, a także my sami, jesteśmy jednocześnie dobrzy i źli. Że ci, których kochamy, nas zawodzą, a w sobie odnajdujemy agresywne impulsy, których wcale nie chcielibyśmy tam widzieć. Jest to oczywiście tym bardziej trudne, gdy inni nas skrzywdzili, a nie tylko okazali się niedoskonali, albo gdy my sami naprawdę mamy się czego wstydzić.

Klein pisała o pozycjach, a nie fazach rozwoju, dlatego jej idee stosują się nie tylko do niemowląt, ale także do dorosłych. Na każdym etapie życia, w różnych sytuacjach musimy wykonywać emocjonalną pracę akceptowania ambiwalencji w innych i w nas samych, albo też, jeśli chcemy uniknąć wykonania tego jakże nieprzyjemnego zadania – poszukać kozła ofiarnego, w

którego, tak jak niemowlę w złą pierś, wyprojektujemy całe zło.

Zdaniem amerykańskiego psychoanalityka Neila Altmana to właśnie trudność przyjęcia pozycji depresyjnej leży u źródeł uprzedzeń. Przy czym uwzględnia on tutaj zarówno tradycyjnie analizowane kategorie wykluczenia takie jak kolor skóry, narodowość, płeć czy orientacja seksualna, jak i będący podstawą kapitalizmu obraz biednych jako leniwych i głupich nieudaczników, którzy sami zasłużyli na swój los. W jego analizach tym, z czym musimy się depresyjnie pogodzić, jest nie tylko niedoskonałość lub agresja nasza oraz ważnych dla nas osób, ale też wszelkie nasze ograniczenia i zależności, które sprawiają, że nie możemy być w pełni wolnymi i autonomicznymi jednostkami. Wypadki losowe, choroby i śmierć sprawiają, że boleśnie odstajemy od zachodniego wzorca człowieka – pana świata, a ból ten koi naznaczenie jakichś innych, którzy zostaną zniewoleni i ograniczeni jeszcze bardziej niż my.

Innym kluczowym elementem naszego kapitalistycznego świata jest oczywiście przekonanie, że dostatek czeka na każdego, kto tylko zechce i się przyłoży. Biedni zostają naznaczeni piętnem nieudaczników właśnie po to, by podtrzymywać ułudę, że „normalnym” ludziom ubóstwo nie grozi. Że jeśli tylko nie będziemy tacy leniwi i niezaradni jak „oni”, możemy mieć pełne poczucie materialnego bezpieczeństwa. W tak skonstruowanej rzeczywistości społecznej bieda zawsze jest gdzie indziej, bo ci, którzy by się do niej przyznali, umieściliby się jednocześnie poza wspólnotą normalnych-zaradnych. Dlatego bogatsi izolują się od biednych usuwając ich z przestrzeni publicznej, a biedni też niespecjalnie się tam pchają – pozostając pod wpływem dominującej ideologii milcząco przyjmują, że ich położenie jest raczej powodem do wstydu, a nie afiszowania się z własnym odstawaniem od kapitalistycznej „normy”, na przykład na manifestacjach.

Gdy brak możliwości buntu, bo oznaczałoby to przyznanie się do

własnej upośledzonej pozycji w systemie, „rozwiązaniem” wydaje się znalezienie kogoś, kto jest jeszcze niżej w hierarchii – najlepiej przy okazji identyfikując winnych całej naszej niedoli. Kluczowa jest też duma – rozpaczliwa próba zaprzeczenia własnej sytuacji przez tych, którzy zostali wykluczeni kulturowo i ekonomicznie. Takich jak polscy kibice, którzy poczucia własnej wartości szukają w narodowo-klubowej dumie łączonej z rasizmem i homofobią. Oczywiście w ten sposób bynajmniej nie udaje im się poprawić własnej sytuacji. Ich zafiksowanie na tropieniu wrogich obcych oraz celebrowaniu narodowej martyrologii zostaje jedynie wykorzystane przez polityków, którzy nie mając żadnych pozytywnych propozycji, usiłują dojść do władzy na fali ich gniewu.

Natomiast reszta społeczeństwa, która należy albo też ma nadzieję kiedyś zaliczać się do „dostatnich normalnych”, otrzymuje w ten sposób doskonały obiekt projekcji: kiboli, w których skupia się całe zło świata. Akcentowanie ich ksenofobii idealnie pozwala ukryć, że to właśnie oni są wykluczonym innym kapitalistycznej klasy średniej. Że jedynie replikują i odwracają schemat dominacji, w którym sami są na dole, a z którego korzyści czerpią ci, co tak gorliwie potępiają ich nietolerancję. Próba znalezienia kogoś, kto będzie jeszcze niżej w społecznej hierarchii, tworzy zatem jedynie nowe narzędzie dominacji – tym razem za pomocą moralnego oburzenia tolerancyjnych normalnych, które potępiając ich ksenofobię jednocześnie samo naznacza swoich obcych.

Trudno wyobrazić sobie lepszą ilustrację opisanego mechanizmu niż niesławny materiał TVN na temat demonstracji przeciw ACTA. Jedynym istotnym faktem okazuje się tam informacja, że brali w nich udział również kibice, co pozwala natychmiast przejść do archiwalnych obrazów stadionowej przemocy z całkowitym pominięciem relacji z obecnymi, poza nielicznymi incydentami, spokojnych demonstracji. Jeśli mityczny obraz żądnego krwi „kibola” miałby się rozpaść, odsłoniłoby to inną, ekonomiczną

„krwiożerczość” tych, którzy piętnując przemoc jednocześnie naznaczają innych i odbierają im człowieczeństwo. Nic dziwnego, że groźba uczłowieczenia „kiboli” poprzez zrównanie ich z innymi manifestantami z najróżniejszych grup społecznych wywołała paniczną reakcję mocno zaburzającą dziennikarzom zdolność postrzegania rzeczywistości...

Bo z całą pewnością demonstracje przeciwko ACTA nie byłyby tak liczne i skuteczne, gdyby nie dołączyli do nich „oni” – na szczęście większość nie posłuchała zatroskanych ostrzeżeń napływających z obu stron, że manifestacje organizowane są przez ideowych wrogów. Na pewno udział we wspólnych demonstracjach pozwolił przyjrzeć się z bliska drugiej stronie i nieco odmitologizować jej obcość. To pierwszy krok do rozerwania klinczu wzajemnych projekcji, w których „oni” są albo zagrażającymi narodowej substancji obcymi, którzy rozkradają kraj i wpędzają nas w biedę, albo też pełnymi przemocy zaściankowymi i ksenofobicznymi prymitywami. Obydwie te konstrukcje uniemożliwiają dostrzeżenie realnych, kapitalistycznych mechanizmów dominacji czyniąc nas frajerami, którzy tłuką się między sobą i szukają kozłów ofiarnych zamiast zmierzyć się z realnymi problemami. Skuteczny sprzeciw niemożliwy jest bez sprzymierzenia się z „nimi” i zakończenia jałowej walki opartej na stereotypach.

Czy zatem mamy szansę na bunt? Pierwszym warunkiem na pewno jest szczere zmierzenie się z naszymi własnymi stereotypami, które tak długo trzymały nas w kole wzajemnych projekcji. Po drugie, konieczne jest dostrzeżenie, że kapitalizm dzieli ludzi na wykorzystywanych i wykorzystujących – ani trochę nie jest owym racjonalnym i „naukowo udowodnionym” na cywilizowanym zachodzie systemem, który miał nam przynieść „normalność” po latach realnego socjalizmu. Ameryka, niegdyś postrzegana jako wybawicielka od komunistycznego ucisku, okazuje się kukłą wypatroszoną przez żądne zysku korporacje, które już dawno wykupiły i zawłaszczyły to, co jeszcze nie tak dawno wydawało się źródłem demokracji i sprawiedliwości.

Świat, w którym amerykański ambasador dzwoni do polskiego parlamentu z „gospodarską troską”, czemu głosowanie poszło niezgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, jest niewątpliwie dużo bardziej niebezpieczny niż ten, w którym dotychczas wydawało się, że żyjemy.

Jeśli przyjmiemy te niewygodne fakty do świadomości, a do tego jeszcze porzucimy złudne poczucie, że narażeni na ubóstwo mogą być tylko jacyś nieudolni „oni” i zauważymy, że naznaczając ich w ten sposób podpadamy dokładnie pod te same mechanizmy, które potępiamy oburzając się na ich ksenofobię – to coś może się ruszyć. Niewątpliwie zmiana niemożliwa jest bez wyraźnego stwierdzenia, że jest źle i dalej po prostu tak być nie może, a to początkowo sprawia, że wcale nie jest nam miło, bo tracimy poczucie bezpieczeństwa i oparcie w dobrze znanej rzeczywistości. Potem jednak odważenie się na protest daje poczucie realnej sprawczości. Przestajemy być bezwolnymi pionkami w rękach władzy, a stajemy się ludźmi, z którymi trzeba się liczyć, którzy mają prawo do życia w sprawiedliwym i równym społeczeństwie. Protest daje siłę i sprawia, że przestajemy być frajerami. Chociaż najpierw konieczne jest przyznanie, że wcześniej długo nimi byliśmy.

Autor: Małgorzata Anna Maciejewska

Źródło: [Lewica](#)